

Zamiast jednej dobrej recenzji – sześć

Zwróciłem się do Marka Kordosa o napisanie dobrej (czytaj: przychyłnej) recenzji książki ogólnie uznanej za złą, wiedząc jak wielką sztuką jest pisanie dobrych recenzji, bo złe pisze się od ręki. Marek Kordos napisał sześć dobrych recenzji książek swoich własnych, swoich kolegów i ogólnie cenionych znakomitości, włączając Davisa i Hersha. Nie można więc zaliczyć naszemu Redaktorowi punktów za wykonanie zadania.

Sam nie napiszę dobrej recenzji wspomnianej książki, bo nie potrafię. Podziwiałem zawsze świetnych matematyków, którzy, patrząc na prace innych, widzieli je z tak dalekiego dystansu, że wszystko w nich – włącznie z błędami – musiało się już wydawać małe, a mając poczucie własnej doskonałości, spotykali wokół siebie i tak same rzeczy ułomne, więc nie dzielili bliźnich na lepszych i gorszych.

Matematycy są w trudnej sytuacji, kiedy przychodzi im oceniać prace innych matematyków. Nie ma w tym zawodzie grupy profesjonalistów – co spotykamy u literatów – pełniących rolę zawodowych krytyków, którzy – wydając ocenę, a nie będąc twórcami – mieliby przez to możliwość uniknięcia niezręcznego odczucia, że oto sami mogliby stanąć na cenzurowanym. Krytyk literacki nie tworzy dzieł nawet jeśli pozwala mu na to talent. Nikt mu tego nie wypomina, bo ten podział ról w zawodzie jest nadzwyczaj wygodny. Podobnie, polityk nie krytykuje polityka, zamawia sobie to u dziennikarza.

W matematyce – chociaż nie tylko, bo dotyczy to np. inżynierów – podział na twórczych i nietwórczych profesjonalistów w zasadzie nie istnieje. Kibic nie ma szans na rozumienie prac matematycznych, a oceny zawierające jedynie opinię, że coś się nam podoba lub nie, nikogo nie interesują. Autor pracy oryginalnej jest więc recenzowany przez autora pracy oryginalnej, autor książki przez autora książki. Sytuacja jest permanentnie niezręczna.

Dlatego zapewne recenzje książek matematycznych, np. te które czytamy w *Wiadomościach*, są przeważnie nijakie. Najczęściej dowiadujemy się z nich ile książka ma rozdziałów, a recenzenci decydujący się na przekroczenie bariery przyzwoitości, jakże często – jeśli ich nie stać na nic więcej – zamieniają recenzję na ciąg wymyślań i wielostronicową erratę. *Biuletyn* amerykański znalazł na to radę, wyróżniając recenzjami jedynie książki świetne, przez co recenzje tam zamieszczone przekształciły się w piękne eseje na zadany przez autora recenzowanej książki temat. Czasopisma recenzujące prace oryginalne – uznając widocznie również opisane opory wewnętrzne matematyków za uzasadnione – nie domagają się uwag krytycznych, wręcz odradzają ocen.

Jak mocno przeżywają te ograniczenia matematycy, widać z ich jadowitych recenzji pisanych tajnie na użytek redakcji czasopism. Czarne teczeki kandydatów na prezydentów błędna w porównaniu z tym, co kryją teczeki redakcji czasopism matematycznych. Bodźcem dla upustu złym skłonnościom jest jakaś niezrozumiała ewolucja roli recenzenta, która doprowadziła do tego, że w ciągu ostatniego półwiecza stał się on obecnie sędzią sądu kapturowego.

Trudno sobie wyobrazić, by tak było zawsze. Było zapewne tak, że Waław Sierpiński, redagując *Fundamenta* zwracał się do młodszego kolegi: – *Panie Edwardzie, proszę przejrzeć i powiedzieć, co Pan sądzi o tej pracy.* Ale decyzję podejmował sam. Edward Marczewski – jeszcze po latach – robił to samo, chociaż dla podejmowania decyzji miał kolegium redakcyjne, oczywiście jawne. Recenzent był niczym więcej, niż doradcą. Co stało się z Wami, o Redakcje, że tak chętnie kryjecie się za plecami tajnych recenzentów, wysyłając do autorów listy z sakramentalnym: *Nasz Recenzent orzekł, że ...?* Recenzenci, znając tę słabość redakcji, jakże często ograniczają się do wyrokowania.

Poruszyliśmy z Szanownym Redaktorem temat niewdzięczny. Te rozważania można by ciągnąć w nieskończoność. Urwijmy je w tym przypadkowym miejscu.

Jerzy MIODUSZEWSKI